

PAUza

Akademicka



Rok X

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności

Nr 416

Kraków, 22 lutego 2018

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Zaginiona misja

W nazwie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego zakodowane są dwie misje: dbania o rozwój nauki i kształcenia studentów. Obydwie misje wiążą się ze sobą jak najściślej, co było i powinno być nadal oczywiste dla każdego. Oczywiście było to bowiem od początku powstawania uniwersytetów, trwało przez całe wieki, i takim stało się też współcześnie dla twórców Wielkiej Karty Uniwersytetów Europejskich, tzw. protokołu bolońskiego, oraz dla ludzi, których nazwiska zapisały się złotymi zgłoskami w dziejach naszej nauki. Oczywiście, naukę uprawia się nie tylko na uczelniach wyższych, lecz w instytutach naukowych, których kwestia kształcenia na ogół nie dotyczy. Nie znaczy to, że jakkolwiek – powtarzam, jakkolwiek uczelnia o statusie uczelni wyższej (a nazwa uczelnia odnosi się właśnie do uczelni wyższych) może być traktowana jak instytut naukowy i to taki, w którym kształcenie uznawane jest za przeszkodę w uprawianiu nauki. Niestety, takie głosy pojawiają się i pojawiały nawet całkiem niedawno, w środowisku samych naukowców a nawet władz uczelni, i to bez akompaniamentu protestów czy to ze strony innych członków tegoż środowiska czy przedstawicieli instytucji, których powołaniem powinno być dbanie o rozwój tak nauki jak szkolnictwa wyższego, przynajmniej w równym stopniu, zgodnie z zapisaną w nazwie misją.

Jeśli więc reformować przepisy, dotyczące nie tylko instytutów badawczych, ale również, a może zwłaszcza, szkół wyższych, powinno się w odniesieniu do tych ostatnich kłaść nacisk na obydwie ich misje: badania naukowe i nauczanie. A tymczasem? Reformowana (i słusznie) ustawa w znaczący sposób zmieniała swoją nazwę, przechodząc od „prawa dla szkolnictwa wyższego”, poprzez „naukę i szkolnictwo wyższe”, tajemniczo acz podniośle brzmiącą „Ustawę 2.0”, aż po „Konstytucję dla Nauki”. Zmiana ta odzwierciedla zmianę perspektywy: Szkolnictwo Wyższe wyparowało nie tylko z nazwy, ale, poddawane powolnej destylacji, znikło jak kamfora z sensownej debaty na jego temat. Co więcej – kształcenie zaczęło być traktowane, jak powiedziano, jako „przeszkoda” w rozwoju naukowym nauczycieli akademickich. Niestety, projekt ustawy, której ostateczna nazwa odzwierciedla ten proces, a z którą wiele osób wiązało pewne nadzieje, nie pozostawia wątpliwości, że dydaktyka uniwersytecka (uczelniana) tak właśnie jest traktowana. Oto dowody. Po pierwsze, świetnie brzmiąca „elitarność kształcenia” oznacza jedynie nieco zmniejszoną liczbę studentów przypadających na jednego pracownika naukowo-dydaktycznego. Nie ma mowy o jakości tegoż pracownika, przeciwnie, za normę uznaje się to, że kształcić

mieliby również – szczególnie – ci, których rozwój naukowy albo pozostawia wiele do życzenia, albo jest z jakichś względów niemożliwy. To oni, nie będąc zmuszonymi do rozwoju naukowego, mieliby stać się „zastygłymi” w swoich dawnych formach nauczycielami akademickimi (?), legitymizującymi się wiedzą, jaką nabyli w czasie studiów kilka, kilkanaście bądź kilkadziesiąt lat wcześniej. Mając doktorat, mogliby do emerytury nauczać jako profesorowie uczelniani, gdyż tytuł profesora nadawany byłby ludziom, którzy zrobili habilitację. Po drugie, relatywizowanie habilitacji (początkowo miała być obowiązkowa, potem nieobowiązkowa, teraz ma jedynie stanowić przepustkę do tytułu profesora belwederskiego) w oczywisty sposób musi stanowić dla niektórych wygodny argument, żeby „z ostrożności” pozostać przy stanowisku profesora uczelnianego, blokując skądinąd własny rozwój naukowy i – miejsce profesora-dydaktyka z habilitacją i tytułem. Po trzecie – brak jakiegokolwiek refleksji, jakiegokolwiek pomysłu na to, w jaki sposób zadbać o rozwój umiejętności dydaktycznych pracowników wyższych uczelni. Po czwarte wreszcie, nie uwzględniono dorobku dydaktycznego w ewaluacji, parametryzacji czy, prościej mówiąc, ocenie tak indywidualnego pracownika naukowego będącego nauczycielem akademickim jak całych jednostek: wydziałów (tam gdzie uda im się pozostać dzięki woli rektora), a nawet uczelni. Tak zwana „projakościowość” (słowo-koszmarek) nie wpływa w większym stopniu na poziom studiów, a w żadnym – na poziom dydaktyków.

Może więc, zdaniem projektodawców Konstytucji dla Nauki, to kształtowanie i rozwój nauki ma jedynie znaczenie, a kształcenie przyszłych pokoleń już nie? Jeśli tak jest, popełniają wielki błąd. Rozwój nauki w Polsce jest ważny – argumentów za tym nie brakuje. Jednak kształcenie na najwyższym możliwym poziomie następców jest również ważne, jeśli wręcz nie ważniejsze. Nie tylko dlatego, że zawarte jest to w samej nazwie uczelni wyższej (a niegdyś, w sposób domniemany, w nazwie uniwersytetu jako wspólnoty uczących i będących uczonymi). I nie tylko ze względu na nazwę Ministerstwa. Przede wszystkim dlatego, że nasza powinnością jest zostawić po sobie nie tylko jakieś – oby jak największe – odkrycia naukowe, ale dlatego, że mamy obowiązek kształcenia i wykształcenia jak najlepiej tych, którzy w przyszłości będą albo sami uprawiać naukę, albo nauczać (lub jedno i drugie, jako badacze – nauczyciele akademicy), albo też po prostu współtworzyć elitę naszego kraju: świetnie wykształconą, mądrą, pełną umiejętności, które im przekazemy, których ich nauczymy. Za to również powinna wziąć odpowiedzialność ustawa i jej twórcy.

MARIA KORYTOWSKA
Uniwersytet Jagielloński



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków